

Traumy może i były, ale nigdy się nie skarżyłem – rozmowa z Peterem Skrzyneckim

Marek Paryż: W swojej autobiografii zatytułowanej *Wróble ogród*, przełożonej na polski w 2007 roku, koncentruje się pan na dwóch okresach: z jednej strony na latach czterdziestych i pięćdziesiątych, czasie dzieciństwa spędzonego w Niemczech i Australii, a z drugiej na dziewięćdziesiątych, kiedy zmarli pańscy rodzice. To właśnie rodzice są bohaterami *Wróblego ogrodu*, w którym nie znajduje pan miejsca dla swojej „opowieści o sukcesie”, czyli o tym, co wydarzyło się na przestrzeni pominiętych czterech dekad. Jak zatem ta opowieść wygląda?

Peter Skrzynecki: W 1951 roku zamieszkaliśmy w Sydney; tam najpierw skończyłem szkołę podstawową, a potem przeszedłem kolejne etapy szkoły średniej w instytucjach katolickich. Trwało to do 1963 roku. Wtedy podjąłem studia humanistyczne na Sydney University. Nie zaliczyłem wymaganych przedmiotów – z wyjątkiem literatury angielskiej – i przeniósłem się do Sydney Teachers College, by zdobyć kwalifikacje do zawodu nauczyciela w szkolnictwie podstawowym (1965–1966). Zostałem oddelegowany do trzech bardzo odległych miejsc w Nowej Południowej Walii do pracy w „małych szkołach”, czyli takich, które prowadził pojedynczy nauczyciel. W tym czasie zacząłem pisać wiersze, które wydrukowano w ogólnokrajowych czasopismach i gazetach. Nie zaplanowałem tego; po prostu tak się złożyło. Były późne lata sześćdziesiąte. Zapisalem się na korespondencyjne studia humanistyczne na University of New England w Armidale, tym razem z dobrym skutkiem. Studiowałem literaturę angielską, amerykańską i australijską, historię Australii, historię reformacji, politologię. Wróciłem do Sydney w 1970 roku i w połowie dekady uzyskałem stopień, który umożliwił mi rozpoczęcie studiów magisterskich na Sydney University. W 1972 roku miałem już na koncie dwa tomy wierszy, a w 1975 wydałem *Immigrant Chronicle* – zbiór, który odniósł największy sukces spośród wszystkich moich książek poetyckich. Do tej pory ukazało się trzynaście lub czternaście edycji i książka wciąż jest w sprzedaży. Od wielu lat figuruje na liście lektur szkolnych. Jest to „kronika” migracji mojej rodziny do Australii po drugiej wojnie światowej, tudzież hołd dla moich rodziców i pochwała ich zwycięstwa nad trudnościami, jakie napotkali w nowym kraju. Wtedy panoszył się tu rasizm, bigoteria, dyskryminacja. Rodzice musieli się nauczyć nowego języka, a ojciec miał już czterdzieści cztery lata. To był trudny czas.

W 1986 roku uzyskałem magisterium i rozważałem podjęcie studiów podyplomowych, ale zrezygnowałem z tego pomysłu i poświęciłem się pisaniu. Nadal uczyłem w szkole podstawowej, ale niedługo potem zostałem zatrudniony na uczelni, która obecnie nazywa się University of Western Sydney. Wykładałem literaturę australijską i amerykańską, klasyczną i współczesną. Niekiedy prowadziłem zajęcia także z innych

literatur. Zostałem profesorem przed przejściem na emeryturę w 2004 roku; przez trzydzieści siedem lat pracowałem jako nauczyciel. Teraz mam stanowisko honorowe na Wydziale Humanistycznym mojego uniwersytetu.

Marek Paryż: We *Wróblim ogrodzie* obszernie pisze pan o życiu w obozie dla wychodźców w Parkes, także w wierszach często powraca pan do tego tematu. Czy pobyt w Parkes był pierwszym doświadczeniem australijskim, jakie pana ukształtowało, a może nawet rodzajem osobistej traumy?

Peter Skrzynecki: Życie w obozie w Parkes, położonym o pięć godzin jazdy samochodem na zachód od Sydney, nie było ciężkie, a ja nie czułem się tam nieszczęśliwy, bo mieszkałem z matką. Ojciec pracował fizycznie w firmie wodociągowej w Sydney. Odwiedzał nas raz w miesiącu, podobnie było z innymi Polakami. Wszyscy podpisali kontrakty z rządem, które zobowiązywały ich do odpracowania kosztów podróży do Australii w ciągu dwóch lat. Nazywano ich „Pracownikami dla Australii”. Po upływie okresu wyznaczonego w kontrakcie ojciec miał na tyle duże oszczędności, by dokonać wpłaty na dom przy Mary Street nr 10 w Regents Park, na zachodnich przedmieściach Sydney, okolicy zamieszkałej głównie przez robotników.

Przeżyłem traumy wywołane wypadkami, których byłem świadkiem w obozie lub poza jego granicami, i potrzebowałem kilku dekad, by nauczyć się żyć z nieprzyjemnymi wspomnieniami. Opisuję takie wydarzenia we *Wróblim ogrodzie*. Ale z drugiej strony uwielbiałem tereny wiejskie – farmy, pola, ptaki, owce, bydło. Trauma może i były, ale nigdy się nie skarżyłem. Natura wynagradza tych, którzy w nią wierzą.

Całkiem niedawno wybrałem się na jeden dzień do Parkes na zaproszenie lokalnej szkoły średniej; tamtej nocy napisałem wiersz zatytułowany *Gwiazdy* – o moich rodzicach oraz znaczeniu tego miasteczka i związanego z nim doświadczenia dla mnie, dawniej i teraz – po sześćdziesięciu latach. Parkes wciąż wywiera na mnie jakiś magiczny wpływ.

Marek Paryż: Jakie wartości wpoili panu rodzice?

Peter Skrzynecki: Nauczyli mnie polegać na sobie i szanować dobre wykształcenie oraz ciężką pracę, przekazali mi wiarę w Boga, której nie potrafię wyrazić słowami. Wszak podróż do Australii przez połowę świata miała przyczynę. W przeciwieństwie do wielu potomków imigrantów nie zdobyłem fortuny, ale opowiedziałem historię ludzi wykorzenionych, wygnańców z Europy, zwłaszcza z Polski. Myślę, że wypełniłem swoje przeznaczenie.

Marek Paryż: Czy literatura polska jest w jakikolwiek sposób zauważana w Australii?

Peter Skrzynecki: Nie. Do rzadkości należą czytelnicy o takich literackich zainteresowaniach, przy czym w tej niewielkiej grupie mieszczą się Polacy. Nazwiska Conrada, Herberta, Miłosa zapewne coś znaczą. Główne wpływy literackie pochodzą z Anglii i Ameryki, a ostatnio także ze Wschodu, w związku z rosnącą rangą pisarzy azjatyckich w Australii. Począwszy od lat osiemdziesiątych, stopniowo słabło oddziaływanie literatur europejskich na naszym gruncie.

Marek Paryż: W Stanach Zjednoczonych od lat sześćdziesiątych, a w Anglii od osiemdziesiątych toczą się dyskusje o kształcie kanonu literatury. Podobne debaty zapewne odbywają się też w Australii, gdzie zręby kanonu stworzyli pisarze o korzeniach anglosaskich. W istocie pańska antologia literatury grup etnicznych i narodowych w Australii, wydana w 1985 roku, była ważnym głosem w tej debacie. Jakie przyświecały panu cele, gdy pracował pan nad antologią? Czy wówczas był to projekt unikalny?

Peter Skrzynecki: Redagowałem *Joseph's Coat: An Anthology of Multicultural Writing* z nadzieją, że pokażę, jak wiele dzieje się w literaturze australijskiej poza dominującą na ówczesnej scenie twórczością pisarzy WASP (biali protestanci pochodzenia anglosaskiego). W tamtym okresie zjawiska niemieszczące się w nurcie głównym były na marginesie obiegu wydawniczego, często pozostawały nieznanne. W antologiach drukowano ciągle tych samych poetów i pisarzy starszego pokolenia. Redaktorzy w większości byli WASP-ami. Takie publikacje bywały finansowane z grantów rządowych, czyli z pieniędzy podatników, wśród których istniały przecież duże grupy niemające swoich literackich przedstawicieli. Jak tu mówić o sprawiedliwości? W połowie lat osiemdziesiątych moja antologia była rzeczą ze wszech miar nową. Od razu zdobyła powodzenie wśród uczniów i studentów. Wykonałem swoistą pracę u podstaw, słowa poszły w świat. Dzisiaj dyskryminacja literacka nie istnieje, aczkolwiek tu i ówdzie słychać opinie, iż nadal trwa.

Marek Paryż: Jak zmieniło się postrzeganie Australii przez imigrantów na przestrzeni ostatniego półwiecza?

Peter Skrzynecki: Te zmiany wynikały z szerszych procesów społecznych i politycznych. Społeczeństwo stawalo się coraz bardziej tolerancyjne w stosunku do mniejszości etnicznych i narodowych. Kluczowy był rok 1972, kiedy rządy konserwatystów dobiegły końca po dwudziestu pięciu latach i powstał gabinet Australijskiej Partii Pracy. Zniesiono cenzurę, Australia wycofała się z wojny w Wietnamie, skończył się pobór do wojska, jednocześnie sztuka stała się bardziej demokratyczna. Wielką zmianę dosłownie czuło się w powietrzu. Łatwiej można było publikować książki, bo nowy rząd Edwarda Whitluma stworzył Australia Council, która do dzisiaj finansuje inicjatywy wydawnicze. Poprzez małżeństwa z osobami o korzeniach anglosaskich dzieci imigrantów silniej wiązały się ze społeczeństwem, opuściwszy osiedla tradycyjnie zamieszkałe przez mniejszości. Australia bogaciła się, praca była dostępna, zdarzały się spektakularne awanse. Dość powiedzieć, że obecnie dwie spośród kilku najbogatszych australijskich rodzin mają przodków, którzy przybyli tu z Europy po wojnie – jeden pochodził z Polski, a drugi z Węgier.

Marek Paryż: Które grupy imigranckie bądź etniczne są obecnie najbardziej widoczne na mapie literatury australijskiej?

Peter Skrzynecki: Azjaci oraz Aborygeni.

Marek Paryż: W drugiej połowie XX wieku w poezji australijskiej pojawiło się kilka kolidujących ze sobą tendencji. Na przykład dominująca po wojnie poezja akademicka, tworzona między innymi przez Aleca Derwenta Hope'a, została zakwestionowana przez poetów z Pokolenia '68, którzy w swoich wierszach opisywali przestrzenie miejskie

i podejmowali problemy polityczne. Z kolei twórcy skupieni wokół wpływowego czasopisma „Bulletin” odrzucili posępny obraz stworzony przez Pokolenie '68 i poczęli na nowo odkrywać australijskie krajobrazy. Był pan świadkiem tych poetyckich konfrontacji; jaki wywarły na pana wpływ? Jakie bądź czyje wizje, style, estetyki najbardziej pana inspirują?

Peter Skrzynecki: Poniekąd byłem i zarazem nie byłem częścią Pokolenia '68. Pojawiłem się na australijskiej scenie literackiej pod koniec lat sześćdziesiątych i twórczość, jaka wyrosła na gruncie protestu przeciwko wojnie w Wietnamie, silnie do mnie wtedy przemawiała. Jednak, jeśli chodzi o stylistykę, najbardziej ceniłem poetów tradycyjnych, choć jednocześnie miałem dużo uznania dla modernistów, zwłaszcza Wallace'a Stevensa, Thomasa Stearnsa Eliota, Dylana Thomasa i Williama Buttlera Yeatsa. *Ziemię jałową* zdecydowanie uważam za najważniejszy utwór XX wieku. Wielu poetów Pokolenia '68 wyłoniło się z cienia amerykańskich grup poetyckich: Black Mountain, nowojorskich beatników, poetów konfesyjnych. Poezja australijska tego okresu była nasycona ironią i sceptycyzmem, antyromantyczna i antypastoralna; zamiast natury mitologizowała miasto. Echa amerykańskich wierszy konfesyjnych pobrzmiwały w utworach poetów, którzy pisali o efektach narkomanii, wspominali swoje zatamania, choroby psychiczne albo wyroki więzienne. Teraz uśmiecham się i zastanawiam, czy to wszystko było szczerze; jeśli istotnie było, to wyróżniłbym poezje Michaela Dransfielda, Roberta Adamsona, Alana Wearne'a i Johna Trantera. Muszę przyznać, że na mnie twórcy amerykańscy również wywarli znaczący wpływ, zwłaszcza ci spod znaku poezji konfesyjnej: Robert Lowell, Sylvia Plath, John Berryman i inni. Z drugiej strony, czytałem wielu autorów europejskich: Pasternaka, Montalego, wczesnego Jewtuszenkę, Herberta oraz Greków – Seferisa i Elytisa. W Australii do moich ulubionych poetów należeli Judith Wright, Randolph Stow, Roland Robinson (wydawca moich pierwszych dwóch zbiorów wierszy), James McAuley, David Campbell, poeci liryczni. W latach sześćdziesiątych zaczęły się ukazywać tomy poetyckie Lesa Murraya, byłem pod wrażeniem szczególnie dwóch najwcześniejszych. Obecnie więcej uwagi poświęcam poezji europejskiej, o wiele bardziej dostępnej niż dawniej, gdy istniała tylko seria poetycka Penguin. Wciąż mam większość tomów z tej serii, między innymi wybór powojennej poezji polskiej pod redakcją Miłosza.

Marek Paryż: W prozie australijskiej drugiej połowy XX wieku, a zwłaszcza od lat osiemdziesiątych, można zauważyć wzmożone zainteresowanie historią, które najwyraźniej przejawia się w książkach osadzonych w realiach dziewiętnastowiecznych. Czy we współczesnej poezji australijskiej tematyka historyczna jest równie wyeksponowana jak w prozie?

Peter Skrzynecki: Istotnie, za sprawą książek takich autorów, jak Peter Carey, Thomas Keneally, David Ireland, David Foster i inni, powieść australijska weszła w fazę nowych odczytań historycznych. W poezji natomiast podobnej tendencji raczej nie uważam.

Marek Paryż: Jaki jest pański osobisty kanon prozy i poezji australijskiej?

Peter Skrzynecki: Absolutnym mistrzem jest Patrick White; w mojej ocenie nikt nie może się z nim równać. Bardzo cenię pisarstwo Davida Maloufa tudzież Tima Whintona, a ze starszego pokolenia Randolpha Stowa. Moją ulubioną poetką była, i nadal jest, Judith Wright. Na tym poprzestaną, lista jest zbyt długa.

Marek Paryż: Krytycy uważają pana za poetę rzecznika imigrantów w Australii, a to oznacza, że może się pan poczuwać do obowiązku wyrażania zbiorowych sentymentów i niepokojów w swojej twórczości. Z drugiej strony, ton pańskich wierszy jest najczęściej osobisty, niekiedy wręcz intymny. Czy odczuwa pan potrzebę utrzymywania w wierszach jakiejś równowagi między tym, co publiczne, i tym, co prywatne?

Peter Skrzynecki: Nie. Jestem tym, kim jestem, i piszę tak, jak piszę; czytelnicy i krytycy albo to akceptują, albo nie.

Marek Paryż: Niedawny zbiór pańskich wierszy wybranych nosi tytuł *Stary/Nowy Świat*. W pana przypadku tytułowa dychotomia nie jest bynajmniej oczywista. Który świat jest „stary”, a który „nowy” z pańskiej perspektywy?

Peter Skrzynecki: „Stary Świat” to Europa, a „Nowy” to Australia. Ale rzeczywistość jest tu pewna ambiwalencja: dla kogoś, kto mieszka w Australii od sześćdziesięciu lat, Europa jawi się raczej jako coś nowego niż starego. Ów „Stary Świat” żyje w snach i wspomnieniach. Zawsze mamy wspomnienia – głosy przodków odziedziczone w chwili narodzin i przekazywane kolejnym pokoleniom, czy tego chcą, czy nie.

Marek Paryż: Pańskie wiersze oscylują między sceptycyzmem i afirmacją. Która z tych postaw przeważa? A może wyznaczają one zdrową równowagę?

Peter Skrzynecki: Chciałbym, żeby to była zdrowa równowaga. Afirmacja jest synonimem nadziei... A czym jest życie bez niej? Gdy znika jeden problem, zaraz pojawia się następny. Toteż nadzieję trzeba nieustannie podsycać. I temu służy poezja.



Fotografia: Urszula Kubicz-Fik, *Calineczka*, Będzin 2009 (Żaba Matka)



Fotografia: Urszula Kubicz-Fik, *Krzesiwo*, Zdrojowy Teatr Animacji, Cieplice 2004 (Kobieta)